



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



TABLICZKA SZYFROWA I RYSIK.

P. M. HEILPERNA.

O dobrze znanych rzeczach chciałbym dziś pogawędzić z miłymi czytelnikami „Wieczorów”. Któż bo nie zna tabliczki szyfrowej? Toż to jedna z najmilszych towarzyszek naszych lat dziecięcych. Cierpliwy to świadek pierwszych naszych prób pisarskich i rysunkowych. A jednak, nie wiele ludzi umiałoby powiedzieć z czego się tabliczka szyfrowa robi. Może nie jeden wie nawet, iż tabliczki szyfrowe robią się z kamienia szyfrowego, z którego utworzone są niektóre góry uralskie i niemieckie, lecz czem jest ten kamień i w jaki sposób góry takie powstać mogły, o tem pewnie mało kto myśli. A jednak rzeczy pospolite, z którymi mamy często do czynienia warto przecież znać dobrze.

Rozpatrując kawałek rozbitej tabliczki szyfrowej, łatwo zauważyć iż ten kamień, w całej swej masie ciemno-szarej

barwy, ma budowę uwarstwowaną, to jest składa się jakby z leżących na sobie tafelek, dających się dość łatwo odlupywać. Z tego powodu kamień ten nazywany łupkiem gliniastym; jest to bowiem rodzaj gliny warstwionej. Znamy kilka rodzajów glin, napozór dość różnych; wszystkie jednak tworzą się w jednakowy sposób.

Gdy przyjrzymy się rozbitym świeżo kamieniom polnym, które, jak już wiemy, są przeważnie częstkami gór granitowych, przyniesionymi niegdyś przez lody i wody ze Szwecyi i innych odległych krajów, zauważymy łatwo, iż te kawałki granitu składają się ze zbitych ziarn barwy czerwonej, białej i czarnej, a także z ziarn bezbarwnych. Ziarna czerwone, a jak w niektórych kamieniach białe, są częstkami kamienia zwanego skaleniem, czyli spatem polnym. Na polach naszych, a także nad brzegami rzek znaleźć łatwo oddzielne kawałki skalenia czerwonego, lub białego, a w wielu miejscowościach ze skalenia utworzone są całe skały. Jakkolwiek to kamień bardzo twardy, jednak leżąc długo na powietrzu powoli kruszeje, rozpada się na proszek, który coraz głę-

szej ulega zmianie, słowem kamień wietrzeje. Wietrzejąc skałę zamienia się w glinę. W miarę, jak woda spłókuje z powierzchni skałenia powoli tworzące się cząsteczki gliny, głębsze warstwy skałenia wietrzejąc w dalszym ciągu znów w glinę się zmieniają. Tą drogą tylko glina powstać może. Wody spłókują glinę, znoszą ją do morza, gdzie powoli gromadzi się, tworząc duże pokłady. O ile glina jest zupełnie czystą, niczem nie zanieczyszczoną, ma barwę białą, jak kreda, nazywa się gliną porcelanową, albo kaolinem; z tej czystej gliny po wypaleniu otrzymujemy porcelanę. W kraju naszym gliny porcelanowej nie znajdujemy. Natomiast napotykamy często różne rodzaje glin, różniące się od porcelanowej tem, że są mniej lub więcej zanieczyszczone różnemi domieszkami. Tak np, nie o wiele różni się od porcelanowej znajdująca u nas glina fajansowa i glina ogniotrwała. Jeszcze mniej czystą jest glina folarska, służąca do wywabiania z sukna i tkanin wełnianych tłuszczu, którym wełna w czasie roboty napojoną była. Im więcej glina jest zanieczyszczoną, im więcej zawiera obcych domieszek, to jest różnych części mineralnych z ziemi, tem jest ciemniejszą, jak to widzimy w najpospolitszych gatunkach gliny naszej garncarskiej i ceglarskiej, a nawet, jeżeli zwłaszcza zawiera w sobie cząstki węgla, może być zupełnie czarną, jak np. łupek gliniany pisarski, którego używamy do rysowania pod nazwą „kredki”.

Łupek gliniany, z którego wyrabiane są tabliczki do pisania, jest też gliną zawierającą liczne domieszki; jest to bowiem glina zmieszana z piaskiem, talkiem, rdzą żelazną, potasem, wchodzącym także w skład potażu, a wreszcie, z cząstkami węgla, nadającemi mu ciemną barwę. Rysik, którym się posługujemy do pisania na tabliczkach szyfrowych, jest kamieniem o podobnym składzie, lecz miększym. Jeżeli rysik daje na tabliczce, jak to czasami widzimy, kre skę czerwoną, to winą tego jest większa ilość rdzy żelaznej w tem miejscu; jeżeli żłobi tabliczkę, zamiast się o nią ścierać, to powodem tego jest ziarnko piasku, w tem miejscu w nim występujące. Przeważnie jednak są wszystkie te składowe części łupku glinianego w tak drobnutkich cząstkach jednostajnie w nim rozpostarte i tak dokładnie zmieszane, iż ani okiem nie uzbrojonym w szkła, ani nawet przez szkła silnie powiększające, dostrzedz nie możemy oddzielnych cząstek piasku czy węgla. Rozpoznać je można tylko za pomocą środków chemicznych. W dawnych czasach, gdy daleko większa część powierzchni ziemi znajdowała się pod wodą, każda najdrobniejsza cząstka wietrzejącego skałenia wnet zmywana, osiadać mogła na dnie wody, wraz z cząstkami innych ciał. Warstewka po warstewce osiadła na dnie wód i tą drogą, jak wszystkie kamienie utworzone przy pomocy wody, posiadał i łupek glinowy budowę uwarstwioną, tafelkowatą. Gazy, tworzące się w ognistem wnętrzu kuli ziemskiej, cisnąc na skorupę ziemi, podniosły w wielu miejscach dno morskie nad powierzchnię wody, zamieniając je w ląd stały, nawet w wysokie góry, a wraz z tem dnem podniosły się nad poziom wód, leżące na dnie tem pokłady gliny i innych materiałów. W ten sposób mogą dziś ludzie łatwo korzystać z ciał, które niegdyś, przed wiekami, wytworzyły się na dnie głębokich oceanów.

Wielkimi, szerokimi kilofami odłupują górnicy duże tafle łupku glinianego ze skał łupkowych. Tafle te zostają następnie przyrznęte odpowiednio, przez tarcie piaskiem do-

prowadzone do żądanej grubości, a w końcu przy pomocy delikatnego mialu węglowego i oliwy odpoliturowane. Tak przyrządzone tabliczki zostają oprawione w ramki z drzewa jodowego, dającego się łatwo łupać i obrabiać, pospolitego w miejscowościach zawierających góry łupkowe i stanowiącego swą białą barwą przyjemny kontrast z ciemną barwą tabliczek szyfrowych. Niektóre gatunki łupku glinianego, używane są też do pokrywania dachów. Takim łupkiem dachowym pokryty jest np. dach pałacu Kronenbergów w Warszawie, dom na rogu ulicy Granicznej i Żelaznej Bramy, oraz kilka innych kamienic. Gliny łupkowe, z których wyrabiane są rysiki, mają budowę przecikową. Obrabiać je i rozłupywać na przeciki, które potem dopiero zostają sztucznie zaokrąglane i zastrzone, jest daleko trudniej, niż obrabiać łupek tabliczkowy.

Odwieczna, tysiące lat trwająca, a skomplikowana praca przyrody, oraz mozolny trud setek ludzi potrzebny jest, jak widzimy, do stworzenia rzeczy tak pozornie prostej, jak zwyczajna tabliczka szyfrowa, którą małe dziecię tak często niszczy jednym zamachem swych słabych rączek.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

— Którego tu nie brak, — dodał Bob, podzuczając w górę garść drobnego zwiru. — Ot, poco te gniewy! Lepiej pogodźmy się i razem weźmy się do roboty. Powiem panu otwarcie, iż natrafiliśmy na taki plac, jakiego jeszcze z pewnością nikt nie widział. Dalibóg, złoto pół na pół z piaskiem!

— Powtarzam, oddajcie wielbłądy a potem róbcie, co się wam podoba!

— Oj, co to to nie! — odparł zuchwale Tom. — Zre sztą, nie chcemy być złodziejami, więc zapłacimy po powrocie za to, cośmy panu zabrali.

— I to zapłacimy po królewsku! — rzekł Bob. — Oto zadatek! — dodał, podając Duganowi bryłkę złota, która ważyła przynajmniej funt.

— Cóż to za żarty! — zawołał podróżnik, rumieniąc się z gniewu. — Wielbłądów nie odstąpiłbym za żadne pieniądze, bo są potrzebne dla dokonania przedsięwzięcia, dla którego narażam życie. Wiecie o tem doskonale. A więc nie traćmy czasu daremnie. Jeżeli mi ich nie zwróćcie dobrowolnie, to zmuszę was siłą.

— Siłą?! Przeczuwaaliśmy to, i dla tego zabraliśmy strzelby, — rzekł Bob. — Jesteśmy gotowi! — dodał, zbliżając się do broni, opartej o duży głaz.

— Tak, możemy się bić! — dodał Tom.

— Wuj! błagam cię, nie doprowadzaj rzeczy do ostateczności! — zawołał Jerzy, chwytając Dugana za ręce. — Oni mają złotą gorączkę i gotowi dopuścić się wszystkiego najgorszego; nie wiedzą nawet, co czynią!

— Gałgany, złodzieje! — powtarzał podróżnik, drżący z oburzenia.

Poszukiwacze złota, wzięwszy do rąk dubeltówki, stanęli w pozycji zaczepno-odpornej; było widocznem, że postanowili uciec się do swej przewagi w razie ostatecznym.

— Tomie, Bobie! — zawołał Jerzy. — Cóż to? chcecie strzelać do nas za to, że się upominamy o swoją własność? Doprawdy, niespodziewałem się takiej niewdzięczności z waszej strony. Zapominacie chyba, że to wuj Dugan zaprowadził was tutaj.

— Nie mów do tych nieponiów! Zabraniam ci! — rzekł podróżnik chwytając za ramię siostrzeńca.

— Więc jakże? — mruknął Bob; — pokój czy wojna między nami? Co prawda, to i my wolelibyśmy pozostać się w dobrych stosunkach, bo pomiędzy ludźmi, którzy znają ważną tajemnicę, porozumienie jest najlepsze.

— Pewnie; — dorzucił Tom — nie chcielibyśmy dzielić się złotem z włóczęgami całego świata.

— Ale zrozumcie raz, barany, że nie dbam wcale o wasze złoto!

— Co, nie dbasz pan o złoto, co tak słicznie świeci, co taki rozkoszny brzęk wydaje? co wszystko kupuje, — rzekł Bob, podrzucając z lubością na dłoń bryłkę szlachetnego kruszu. Jakto, pan człowiek taki rozsądny, woli zbierać bezwartościowe kamyczki, rośliny, co się psu na budę nie zdadzą, i jakieś tam głupstwa, zamiast złota? Hm, hm. Takiegom jeszcze nie widział, choć zjadłem zęby w placarach.

— Lituję się nad wami, widzę bowiem, że opanowała was gorączka złota.

— Tak, panie, ale mamy na nią lekarstwo, tam! — odparł Tom, wskazując cztery skórzane worki, napełnione ciężkim piaskiem.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Abel — ciekawym, w co nabierze wody na drogę, i czy wielbłądy udźwigną taki ładunek?

— To też cieszymy się, że spotkaliśmy pana Dugana — odparł pastuch; wiem, że dziś lub jutro pogodzi się z nami i zabierze na swoje wielbłądy połowę piasku, a szkoda by go było tu zostawić, bo wart przynajmniej dziesięć tysięcy funtów. Nieprawdaż, Bobie?

— Jeżeli nie więcej, — mruknął stary poszukiwacz złota, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Niema z nimi co mówić — szepnął Abel opiekunowi — nie rzekną się nigdy takiej doskonałej sposobności.

— Zastanówcie się, — zaczął znów po chwili Dugan, — czy wasz postępek wyjdzie wam na dobre. Opuściliście mnie, ogalając karawanę nie tylko z opieki, ale i z najpotrzebniejszych rzeczy; sami zarazem narażacie swe życie. Czyż sądzicie, że się wam uda powrócić cało ze zdobytymi skarbami? Chyba nie zapomnieliście, ile trudów musieliśmy ponieść, zanim dotarliśmy tutaj. Pozostawieni własnym siłom, zginiecie marnie w pustyni z głodu, pragnienia albo pod maczugami krajowców. Będzie to kara za nikczemność, jaką popełniście!

— To się zobaczy, — mruknął Bob — nie święci garnki lepią! Nie zginęliśmy z panem, to i lichy nas nie weźmie bez pana; zresztą, Morbora jest z nami. Pomimo to, chcę się z panem pogodzić dla wspólnego naszego dobra.

— Na jakichże warunkach? — zagadnął ironicznie Dugan.

— Zabierze pan połowę złotego piasku na swoje wielbłądy, a po powrocie podzielimy się!

— Szaleńcy! Tamci uczynili to samo, co wy teraz zamierzacie; czyż potrzebuję przypominać wam ich losy?

— Bo tamci nie mieli szczęścia.

— Przewróciło się wam w głowie. Zresztą zgadzam się, abyście jednego z dwóch zabranych mi wielbłądów obładowali piaskiem, a drugiego oddacie do mojego wyłącznego użytku; udźwignie on przynajmniej czterysta funtów, to przecie powinno wam wystarczyć, tembardziej, że nie wezmę dla siebie ani jednego ziarnka.

— Co? tylko czterysta funtów, mogąc zabrać pięć razy tyle! — zawołał Bob, tupiąc nogą. — To byłoby głupstwem nie do darowania.

— Waryactwem, na które kazalbym się powiesić! — dodał Tom.

— A gdzie są wielbłądy? — mruknął Jerzy.

— O, niech się panicz nie ogląda; znajdują się one zdaleka, w bezpiecznym miejscu, na dobrem pastwisku pod opieką Morbory; muszą nabrać sił na drogę.

— Jakżeście trafili tutaj?

— Ha, tak jak i wy; szliśmy brzegiem rzeki, która tutaj, chowając się pod ziemię, zostawia na jej powierzchni wszystko, co toczyła z falą najcenniejszego. Bob odrazu zważał, że tu musi być nielada jaki placer i nie omylił się. Nabieraj choć łopatą, płukać nawet nie potrzeba. Szkoda mówić ludziom o takich skarbach, bo je wnet rozdrapią a odkrywcom jak zwykle dostanie się najmniej.

— No, więc, zgadzacie się?! — zapytał Dugan.

— Jeszcześny nie zgłupieli ze szczerem. Zawsze co dwa wielbłądy, to nie jeden, — rzekł pastuch.

— Ha, niech pan sobie zbiera dalej nowe paskudztwa razem z tym safandulą, doktorem, co poza marnem robactwem na niczem się nie zna i o nic nie dba! — dodał Bob. My za kilka dni będziemy mieli z tysiąc funtów litego złota i ruszymy z powrotem.

— A tak. Po drodze nałapiemy kobiet u ludożerców, to wyręcą wielbłądy.

— Zrobiłem wam największe ustępstwo, na jakie się mogę zdobyć; skoro wydaje się wam nie wystarczającym, to trudno. Obyście nie żalowali chciwości waszej! Gorączka złota niejednego już zgubiła; chodźmy. — dodał podróżnik, — niepodobna wyperswadować nic tym waryatom. Nie nazywam ich wprost złodziejami lub rabusiami, bo ich uważam za niepo czytanych.

Rzekłszy to, Dugan odwrócił się pogardliwie od pastuchów i, kipiąc dławionym w piersi gniewem, przeprowił się przez rzekę do biwaku, gdzie oczekiwał Halm.

Wiadomość o spotkaniu z pastuchami nie bardzo wzruszyła uczonego; słuchał on dość obojętnie uskarżeń Dugana na zuchwalstwo i cynizm zbiegów, którzy, korzystając z wyjątkowych warunków, panujących w pustyni, drwili sobie z prawa, sprawiedliwości i słuszności.

— Nie można tego puścić płazem, — rzekł w końcu podróżnik.

— Cóż im pan zrobisz? — zagadnął filozoficznie doktor.

— Odbierzemy im wielbłądy przemocą.

— To za ryzykowna sprawa; mamy tylko jedną strzelbę, bo dwie zabrali oni; ja zaś uzbrojony jestem w rewolwer, który chętnie odstąpię Jerzemu lub Ablowi; walka byłaby nierówną i skończyłaby się naszą porażką.

— Użyjemy podstępny.

— Jakiego?

— Oto wysledzimy, gdzie te gałgany umieścili wielbłądy.

— Wyb rna myśl! — wtrącił Jerzy, podskakując; — sami się wygadali nieroztropnie, że znajdują się one gdzieś na pastwisku pod opieką Morbory. A gdzieżby indziej, jak nie na oazie?

— Nie, bo byśmy natrafili na ich ślad; prędzej pozostawili je w przeciwnym kierunku, poza solną równiną.

— Ach, żeby się nam tylko udało trafić na jakie ślady!

— To nie będzie trudno przy pomocy naszego dzielnego Hopa. Jutro więc, raniutko, ty Jerzy, udasz się na zre-kognoskowanie okolicy, a skoro spostrzeżesz cośkolwiek, dasz mi znać.

— Dobrze wuju. Zobaczysz, że sprawię się ku twojemu zadowoleniu i wykradniemy tym niegodziwcom wielbłądy, skoro sami nie chcą ich oddać.

(d. c. n.)

ADRYANOPOL.

W pośród najpiękniejszych okolic, pełnych róż przecudnych, opiewanych przez najsławniejszych poetów wschodu leży Adrianopol.

Chociaż niezbyt regularnie zabudowany ponad brzegami rzeki Marycy, przedstawia się jednak nader malowniczo ze swymi dwoma wspaniałymi pałacami sultañskimi, meczetami i mnóstwem innych zabudowań, w których mieści się około 200,000 ludności.

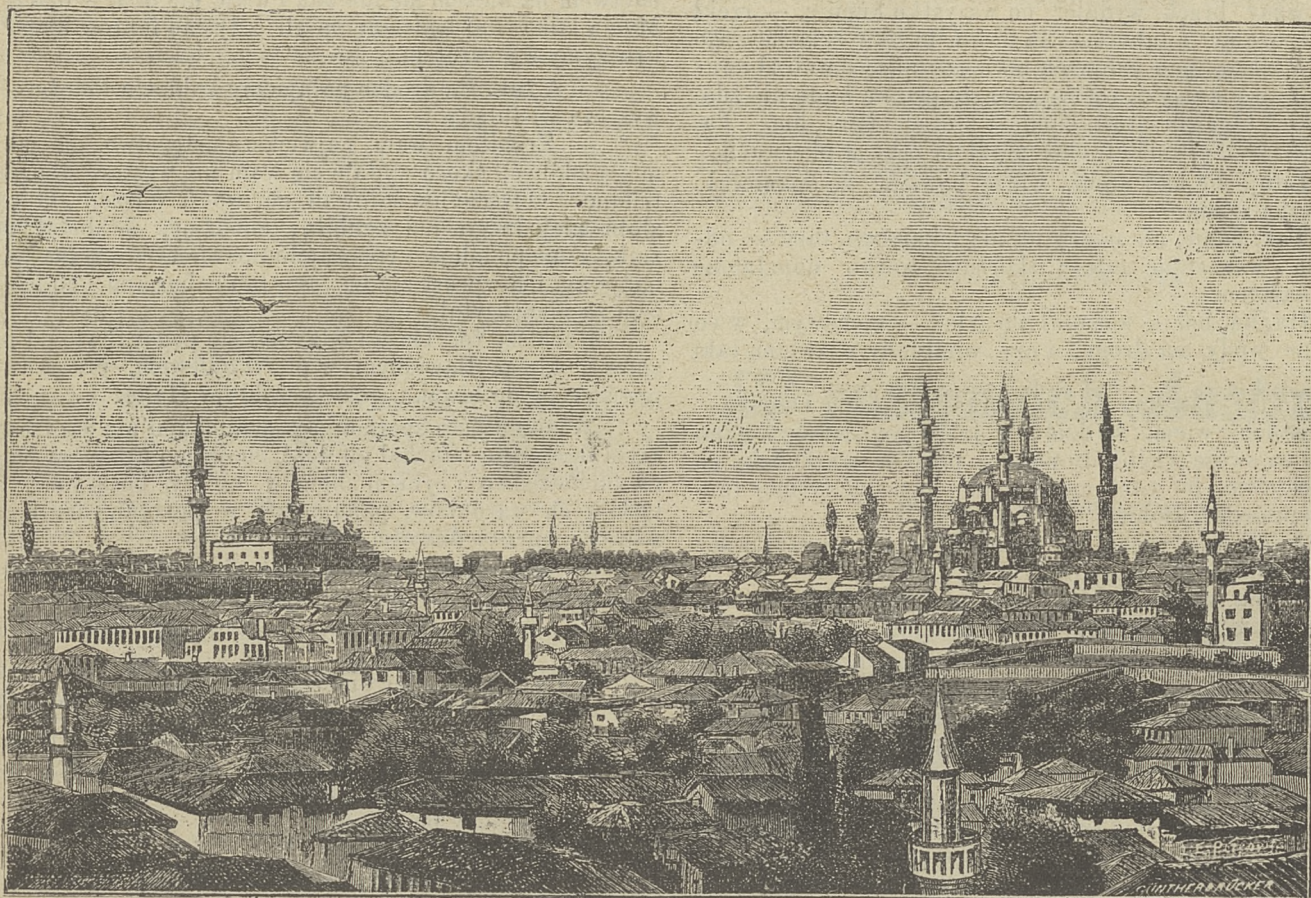
Ludność ta złożona z przeróżnych narodowości, zajmuje się jak wszędzie przemysłem, rękodzielami i handlem, którego najważniejszą gałąź stanowi kosztowny olejek różany, wydobywany z owych ślicznych kwiatów, o jakich wspominaliśmy na początku.

do wesołości, ale którego jasne niebieskie oczy w chwilach zamyślenia wyrażały wielkie skupienie myśli i niepospolitą bystrość, zdradzając umysł przywykły do zastanawiania się i kombinacyi.

— A co pan sobie życzy? — zapytał Lucyana łamaną polszczyzną.

— Jestem Lucyan Rodowski — przemówił przybyły — i przychodzę prosić pana, czybym nie mógł znaleźć zajęcia w przedsiębiorstwie, jakie pan otwiera w naszej okolicy.

— Pan Rodowski? — powtórzył cudzoziemiec, takby sobie coś przypominając. — Aha! tak, pan Chorzeński mówił mi o panu. Pan jest technologiem?



Adrianopol.

SYN MARNOTRAWNY

E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

XI.

Nazajutrz przed południem Lucyan wchodził do kwatery zajętej przez bogatego cudzoziemca, który projektem swoim poruszył żywo całą okolicę.

Pan Szulc tylko co powrócił z pola, gdzie chodził oglądać nabyte przez siebie przestrzenie, na których miano wydobywać wapień.

Był to człowiek wysoki, otyły nad miarę, z dobrodusznym wyrazem twarzy, skłonny, jak się wydawało pozornie

— Nie, panie, nie jestem technologiem — odrzekł Lucyan.

— Nie? więc jakie zajęcie pan chce mieć u mnie?

— To będzie zależeć od tego, jakie mi pan dać zechce.

— Widzi pan, my, ludzie pracy, przywykli jesteśmy stawiać wszelkie kwestye jasno odrazu, dlatego zapytam pana wprost: co pan umie? jakie pan ma kwalifikacye?

— Wtem sęk! — pomyślał Lucyan, czując jak mu gorąco uderzyło do twarzy, ale odrzekł spokojnie:

— Uzdolnienie moje nie przechodzi zakresu gimnazyalnego.

Pan Szulc pomyślał chwilę, poczem wyrzekł:

— W takim razie ja dla pana miejsca nie mam.

Znowu nastalo milczenie.

— Żadnego? — zapytał Lucyan.

— Żadnego — odrzekł cudzoziemiec. Potrzeba mi

wprawdzie dozorca do pilnowania ludzi i odbierania transportów, ale to miejsce nie dla pana.

— Dlaczego?

Pan Szulc obrzucił spojrzeniem elegancką postać młodzieńca, który chociaż skromnie ubrany, miał jednak postać wykwintnego panicza, i uśmiechnął się dobrodusznie.

— Bo to, widzi pan, jest ciężkie, ordynarne zajęcie.

Po ustach Lucyana przemknął uśmiech zagadkowy.

— Ba! — wyrzekł jakby sam do siebie — na świecie tak się dzieje, że jak kto nie zdolny do delikatniejszej pracy, musi jąć się ordynarnej.

— Pan ma słuszość — powiedział z zadowoleniem Szulc. — Ja sam, gdy byłem młody, zacząłem od dźwigania worków w portowym mieście Hamburgu.

— A czy ten dozorca, który potrzebny panu, będzie także musiał dźwigać worki z wapnem?

— Sam nie, ale czasami jak pilna robota, musi pomódz ludziorom, gdy idzie o pospiech, a robotnik zajęty.

— No, to na to jeszcze nie potrzeba kończyć specjalnej szkoły; siła fizyczna wystarczy.

— Więc pan chciałby przyjąć to miejsce? — zapytał cudzoziemiec, któremu Lucyana podobał się coraz bardziej.

— Powiedziałem panu, co o tem myślę. Dalsze warunki jakie?

— Sto rubli pensyi i sto rubli na życie i utrzymanie.

— Razem dwieście, hm. I poza tem żadnych widoków na przyszłość?

— O! tego ja nie powiedziałem. Jeżeli będę z pana zadowolony, jeżeli się pokaże, że pan jest pilny i obrotny, rozumnie pan? — Ja za darmo nie lubię pieniędzy dawać, to pan się będzie mógł z czasem posunąć i wkońcu otrzymać odpowiedniejsze dla siebie miejsce.

— Zarządcy całej fabryki? — uśmiechnął się Lucyana.

— Dlaczego nie? — odrzekł poważnie pan Szulc. — Ja tą samą koleją szedłem na Śląsku. Ale gdy kto inny będzie zdolniejszy od pana, to niech się pan niczego nie spodziewa.

— Naturalnie. Więc mogę pana prosić o to miejsce?

Pan Szulc zamyślił się znów poważnie.

— Dobrze — powiedział w końcu — proszę się stawić piętnastego przyszłego miesiąca na miejscu.

— Dokąd?

— Na polach Ber... Ber... Bercówki.

— Brzozówki — poprawił Lucyana.

— Tak, Brzozówki — powtórzył pan Szulc.

— Nie omieszkać. Żegnam pana — wyrzekł Lucyana z ukłonem i opuścił pokój.

Kopanie wapienia odbywało się na polach Brzozówki, o pięć wiorst od miasteczka, a to ze względu na bliskość stacyi kolei, która z tamtego punktu wynosiła tylko trzy wiorsty, co stanowiło znaczną oszczędność przy zakładaniu kolei kołowej, jaką przeprowadzić miano do stacyi dla transportu wapna. Głównym dozorcą robót był niejaki Knor, Niemiec, sprowadzony przez pana Szulca, resztą wszyscy robotnicy byli tuzimcy.

Dnia tego wieczorem Julcia siedziała po herbacie na ławeczce w ogrodzie, patrząc na dzieci, które bawiły się goniąc po alei, gdy nadszedł Lucyana i zajmawszy miejsce obok siostry, przemówił do niej:

— Mam ci coś powiedzieć, Julciu.

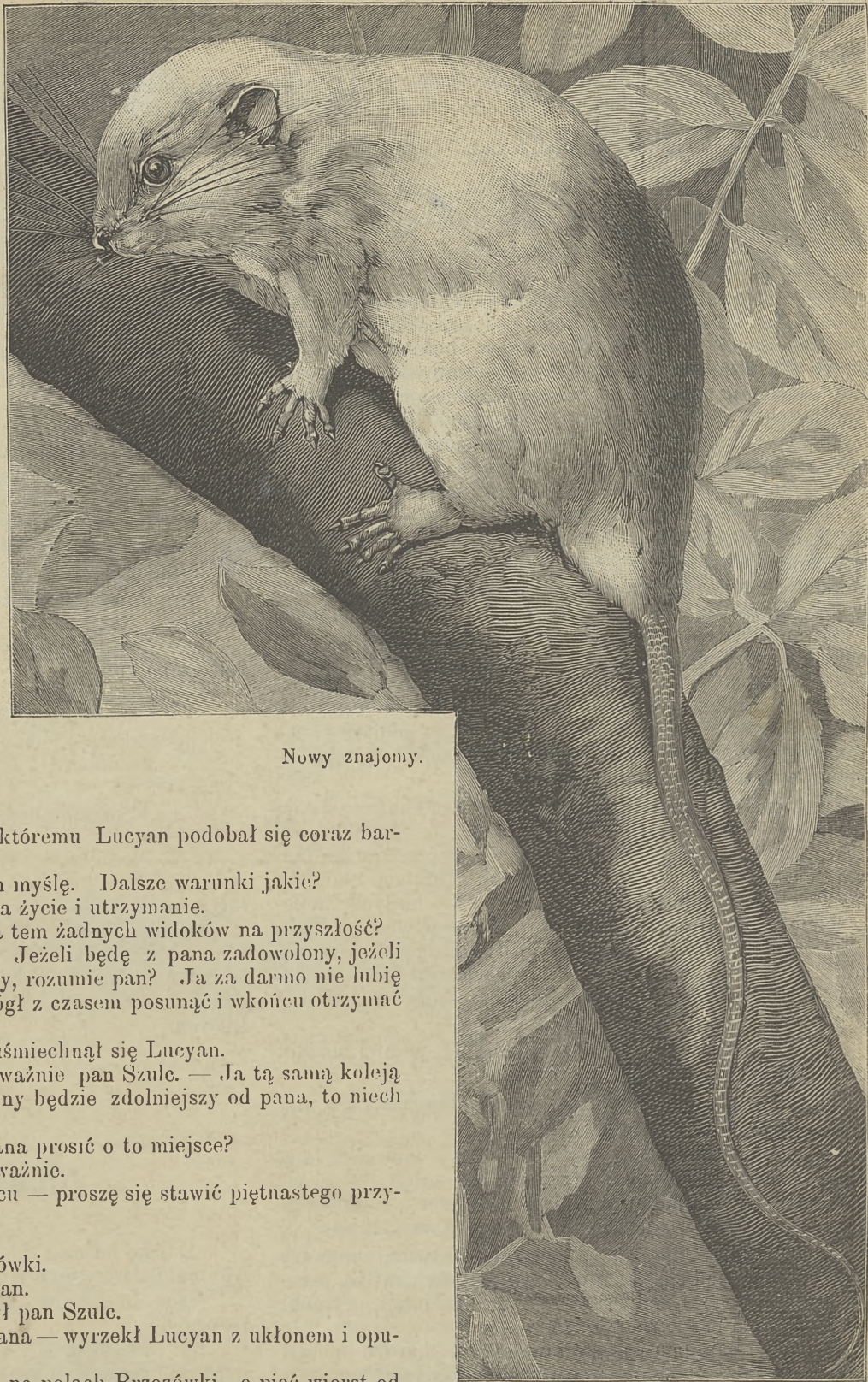
Podniosła na niego wzrok pytający.

— Byłem dziś u Szulca, wiesz kto on taki?

— Wiem.

— Rozmówiłem się z nim i dostałem miejsce.

— Miejsce? — powtórzyła Julcia.



Nowy znajomy.

— Tak, nie świetne co prawda, ale przynajmniej będę mógł pracować.

Tutaj opowiedział siostrze szczegółowo cały swój układ z przyszłym swoim pracodawcą. Julcia słuchała go, a smutna zaduma osiadła na jej czole. Gdy skończył, a ona siedziała ciągle w milczeniu, z pochyloną głową, zawołał weselo:

— Cóż to? moja siostrzyczka niekontenta ze mnie, czy co?

— Taka ciężka praca... — szepnęła Julcia... — praca prostego robotnika. I lzy zabłyśły jej w oczach.

Objął ją ramieniem i przycisnął do piersi.

— To będzie zadosyćuczynienie za tamte zmarnowane lata — mówił z uśmiechem na ustach, ale wzruszony. — Nie mogę siedzieć z założonemi rękami, patrząc na wasze wysiłki. A co do wytrwałości, mam nadzieję, że się nie zawstydzę kiedyś przed Stachem.

— Ojciec nie zgodzi się nigdy na to — mówiła Julia.

— Dlaczego.

— Ojciec trwa w zamiarze, żebyś kończył wyższe nauki; tego roku nie wie czy będzie mógł, ale mówił, że na przyszły wyszle cię na politechnikę.

Brat potrząsł głową.

— Na to ja znów się nie zgodzę. Ojciec za wiele wydał na mnie; teraz przyszedł kolej kształcenia Stacha; gdybym jeden grosz więcej kosztował ojca, byłbym niegodziwcem we własnem przekonaniu, bo zabierałbym na korzyść moją to, co się młodszemu należy. Ojciec nie jest obecnie w możności łożyć na nas dwóch, a dla czego? To ja wiem także dobrze... ale stało się, nie chcę o tem mówić. Nie, ja sam muszę zacząć pracować na moją przyszłość. Wierzaj mi, to mus dla mnie, żeby się zrehabilitować we własnem przekonaniu, odzyskać szacunek dla samego siebie.

Pan Rodowski był również przeciwny postanowieniu syna, zapewniając go, że jeżeli zechce pracować w obranym pierwiastkowo zawodzie, zapewni mu środki pobytu w wyższej szkole, ale Lucyan oświadczył ojcu w słowach pełnych uszanowania, lecz stanowczych, że nie może korzystać z jego łaski i krzywdzić młodszego brata, który potrzebuje również wykształcenia.

Ostatecznie pan Rodowski ustąpił.

W dzień oznaczony Lucyan stawiał się na miejscu swego przeznaczenia. Z dziwnym rodzajem uczucia rozglądał się po terenie swej przyszłej działalności.

Na ogromnej przestrzeni widniało kilka chat, wzniesionych tutaj jakby przypadkiem. Przestrzeń ta zasłonięta była wzgórkami dość znacznej wysokości, o powierzchni białawej, chropowatej, jakby pokruszonej skutkiem ulamków wapienia, który stanowił ich zawartość; stosy białych kamieni, podobne do olbrzymiego rumowiska zaściełały podnóże owych wzgórz, gdyż te, rozsadzane dynamitem dostarczały materiału, z którego w wielkich piecach miało się wypalać wapno. Rój robotników ścigał już, oczekując na dane hasło do pracy.

Cała ta przestrzeń, ze snującymi się po niej ludźmi, przypominała jakieś wielkie obozowisko.

Od strony miasteczka ukazała się bryczka, a w niej znajdowało się dwóch panów.

W pierwszym z nich, mężczyźnie nad miarę otyłym, Lucyan poznał pana Szulca; drugi znacznie młodszemu, szczupły, o ruchach niespokojnych, był pan Knorr, do którego zleceń miał również stosować się Lucyan we wszystkim.

Obaj mężczyźni wysiedli z bryczki, pan Szulc zoczywszy Lucyana, który mu się uklonił, zatrzymał się chwilkę, przechodząc koło niego i podnosząc rękę do kapelusza, wyrzekł z dobrodusznym uśmiechem:

— A! to pan, pan jest punktualnym, to bardzo dobrze.

Poczem zwrócił się do swego towarzysza i dał mu polecenie w języku niemieckim względem Lucyana.

Pan Knorr bystrem spojrzeniem obrzucił nieznanego sobie pracownika i uchylił również kapelusz na znak powitania, następnie głosem obojętnym dał Lucyanowi objaśnienia co do natury jego zajęcia i poszedł dalej, dając hasło rozpoczęcia roboty.

Pod zarząd Lucyana dostała się część ludzi, zajętych układaniem i odmierzaniem kamieni wapiennych, przeznaczonych do wypalania. Czynność nie trudna, tylko dosyć nużąca z powodu znacznej powierzchni, na której wydobywano wapień. Czynność ta zajęła go do godziny dwunastej, po której następowała godzina przeznaczona na posiłek i wypoczynek.

— Aha! to czas obiadu — pomyślał Lucyan, a myśl

o obiedzie rozśmieszyła go. Jak sobie poradzić z obiadem w szczerem polu?

— Ba! — wyrzekł sam do siebie — gdybym miał nie siedmiomilowe, ale wiorstowe buty, skoczyłbym do domu, ale bez tej sztuki, ani myśleć.

— Jednakowoż i tutaj jeść ludzie przecież muszą.

Rzeczywiście ludzie jedli, ale w sposób nieco odmienny od przyjętego. Każdy z robotników wydobył z węzła pożywienie, złożone z razowego chleba, kawałka sera, kiełbasy albo salcesonu, i rozłożywszy na kolanach spożywał przyniesiony specyał ze smakiem.

— Aha! prawda — mruknął Lucyan i pospieszył do chaty, gdzie zostawił swoje manatki.

— Sluchajcie-no, gospodyni! — zawołał wchodząc — dostanie tu u was co zjeść na obiad?

— A co takiego? proszę pana — zapytała naodwrot kobieta.

— A no, co macie.

Wzruszyła ramionami.

— Tego pan nie będzie jadł.

— Jaki, przecie musicie umieć gotować?

— Umieć to umiem wszystkie pańskie potrawy, jakie kto chce, bo przecie służyłam we dworze za kucharkę, zanim wyszłam za mąż.

— A no, to o cóż chodzi? będziecie dla mnie gotować obiady.

— Ojoj, jakie pan zechce, tylko codzień trzeba w miescie czego kupić.

— A któż będzie kupował?

— Choćby moja dziewczyna; ona codzień nosi mleko do miasteczka, do jednej pani, to przyniesie co potrzeba.

— To dobrze. A tymczasem macie kwaśne mleko?

— Jost.

— A kartofle będziecie mieli?

— Są.

— To dawajcie, tylko prędzej.

Tak tedy kwestya obiadów została rozstrzygnięta. Kobieta za niewielkiem wynagrodzeniem zgodziła się gotować młodemu panu, co zechce. Zresztą, mając dziewięć rubli na życie miesięcznie, nie można wydziwiać, to trudno... Wszak ci biedacy, którzy od rana do nocy pracowali, zlewając się potem, musieli poprzestać na kawałku chleba, pocieszał się Lucyan.

(d. c. n.).

NOWY ZNAJOMY.

Daleko od nas, bo aż na wyspie Jawie, na Sumatrze, żyje małe stworzonko z pozoru bardzo do szczura podobne.

Czy kto widział jednak by nasz szczur gnieździł się po drzewach?

Z pewnością nie, a nasze zwierzątko właśnie najchętniej kryje się w dziuplach drzewnych, biega przytem po gałęziach ze zwinnością wiewiórki, gdyż żywi się przeważnie owocami, po które nieraz wysoko sięgać trzeba.

Do łożenia po drzewach wybornie służy zwierzątku łapki pięciopalczaste, a palce tak są ułożone jak u ludzi a nawet u małp, to jest, że jeden palec daje się zginać w przeciwnym kierunku niż pozostałe cztery. Ten układ palców pozwala stworzeniu obejmować gałąź niby ręką, czego żaden szczur nie potrafi.

Zwierzątko nasze znaleziono już przed kilkudziesięciu laty i nawet jedno wypchane przywieziono do Amsterdamu, lecz potem gdzieś ten okaz zaginął i tylko został na pamiętkę dokładny jego rysunek.

Dopiero przed kilku laty, udało się znowu schwycić całą rodzinę tak mało znanych stworzeń, nie zdołano jednak

żywych dowieźć do Europy, więc wypchane przysłano do parryzkiego muzeum.

Przyrodnicy, porównali tutaj szkielet i zęby nowego znajomego ze szkieletem i zębami szczura. Z tego porównania wynikło, że zwierzątko należy do rodziny gryzoniów, tak jak myszy i szczury od których odróżniają go: układ palców, dalej sierść ruda z wierzchu ciała, pod spodem biała. Szczur z Sumatry ma przytem czarne wąsy i niezmiernie długi ogon pokryty czarnymi łuskami oraz bardzo drobnymi, szarymi włoskami. Na wzór naszego szczura, w nocy wychodzi na żer, (zjada zaś tylko ziarna i owoce), w dzień śpi sobie w jakiej dziupli, i dla tego zapewne tak późno go poznano. Dotąd widziano go jedynie na Jawie i wyspach przyległych.

A. M.

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Jakkolwiek parowiec ten miał przepisane światła: białe u masztu, zielone po prawej, czerwone po lewej stronie okrętu, że po tym rozbiściu uciekawszy zaledwie 35 mil, z szerokim wyłomem w prawym boku którym się woda lała do wnętrza, spotkany został przed samym zatonięciem przez Heralda, krzyżowca pierwszej klasy Jego Królewskiej Mości Alberta—Edwarda I-go Króla, Zjednoczonego państwa i cesarza Indyi, że tenże Herald zostający pod komendą admirała sir Edwarda Collison, zdążył przyjąć na swój pokład wyratowaną załogę wraz z dowodzącym kapitanem, który oznajmiając fakt ten jego ekscelencyi gubernatorowi Cyrusowi Bikerstaff, żąda przyznania odpowiedzialności Towarzystwa Standard-Island i wynagrodzenia mu strat poniesionych w statku, maszynach i ładunku, w sumie dziesięć milionów dolarów *) która to suma winna być dobrowolnie natychmiast doręczoną admirałowi, sir Edwardowi Collison, w razie przeciwnym bowiem, użytą zostanie siła przeciw tejże Standard-Island.

Jakiż ta potok słów nie dopuszczający stronę przeciwną do żadnych tłumaczących objaśnień, jak absolutnie stawiony sąd i wyrok przez sir Edwarda Collison, dotyczący zarówno odpowiedzialności Standard-Island, względnie do zaszłego wypadku z parowcem Glen, jako też wynagrodzenia wygórowanych pretensyi!

Cyrus Bikerstaff po krótkiej chwili namysłu odpowiada używanymi zwykle w takich razach argumentami.

— Jeżeli Glen miał swoje ognie — mówi gubernator, Standard-Island miała także swoje; z jednej więc i z drugiej strony niema winy żadnej, bo przyczyną katastrofy były jedynie ciemności, powstałe, jak się zdaje, wskutek wybuchu wulkanicznego, a w obec takiej „siły wyższej” przyjęte są ogólnie prawa, iż obie strony, bez pretensyi żadnych ponoszą swe straty.

— Jego ekscelencya gubernator miałby zapewne słuszość, gdyby rzeczy stały w zwykłych warunkach, między dwoma okrętami. Standard-Island jednak, nie może być przyjętą za jakikolwiek okręt, gdyż jest wyspą pływającą, która obszarem swym stawia bezustanne przeszkody prawidłowej żegludze morskiej, to też słusznie zawsze Anglia protestowała przeciw jej istnieniu i dowolnej zamianie miejsca, nie dającego się oznaczyć na żadnej karcie, zatem Standard-Island

będzie zawsze odpowiedzialną za wszelkie wypadki zaszłe między nią a jakimkolwiek statkiem.

Trudno, aby światły umysł pana Bikerstaffa nie przyznawał pewnej logiczności dowodzeniom kapitana Turner.

— Czyż mogę jednak przyjąć tak bezwzględnie odpowiedzialność wszelką. Niechże sprawa ta zostanie przedstawioną władzom sądowym, niech tam rozstrzygną o pretensjach sir Edwarda Collison. W każdym razie szczęśliwie jeszcze, że nie było wypadku śmierci w zakładzie...

— Bardzo szczęśliwie — odpowiada z ironią kapitan — ale był wypadek zaguby okrętu i miliony zatoneły z przyczyn Standard-Island. Mam więc polecenie od admirała odebrania *natychmiast* sumy wartościowej okrętu Glen i wiezionego przezeń ładunku.

— Ależ towarzystwo nasze przedstawia dostateczną gwarancję zapłacenia strat, jeżeli sąd, po zbadaniu sprawy przyzna nam winę — protestował pan Simoe. Ja nie mogę nic w tym względzie decydować.

— Czy to ostatnie słowo jego ekscelencyi?

— Ostatnie i zgodne z władzą, jaka mi została powierzona.

Po nowej zamianie ukłonów jeszcze sztywniejszych, kapitan Turner odjechał do Babor-Harbour tym samym wagonem elektrycznym, który go przywiózł przed gmach ratuszowy i niebawem w szalupie Heralda podążył z powrotem na pokład krzyżowca.

Tymczasem decyzja gubernatora przyjętą została z ogólnem zadowoleniem nie tylko przez radę miejską, ale przez wszystkich mieszkańców Miliard-City, których obrażające i bezwzględne traktowanie przedstawicieli marynarki angielskiej, oburzyły do najwyższego stopnia, i Standard-Island z rozkazu komandora ruszyła dalej z całą swą możliwą szybkością.

Jeżeli jednak admirał Collison się uprze, czyż zdoła ciężką pływającą wyspą ująć przed pogonią jego okrętów, zdolnych do daleko szybszego jak ona biegu? A jeżeli Anglik (od nich można się wszystkiego spodziewać) zechce poprzeć swe wymagania choćby kilku granatami melitowemi, czyż możebnem będzie stawić opór należyty? Bo chociaż wyspa posiada działa doskonałe, walka jednak przedstawia się bardzo nierówną z powodu samej natury dwóch przeciwników: tam okręt zbrojny aż po same maszty, tu odkryta płaszczyzna ze swymi gmachami, mogącymi służyć nieprzyjacielowi za cel każdego strzału. Co poczną mieszkańcy Miliard-City gdy nigdzie nie znajdą bezpiecznego schronienia?

Niepewność ta jednak nie była wystawioną na zbyt długą próbę, bowiem już o godzinie wpół do dziesiątej padł pierwszy „biały” strzał z głównej wieżyczki Heralda, a równocześnie pawilon „Zjednoczonego Królestwa” wzniesiony został na sam szczyt masztu. Tak więc walka stanowczo wypowiedziana została. Czy przyjmą ją, nie bacząc na nie, mieszkańcy Miliard-City?

Ale lekkomyślne narażenie swego dobra niezgodnem jest z praktycznem umysłem Amerykanów, to też na zebraniu w ratuszu Jem Tankerton i Nat Cowerley pierwszy raz nie różnią się w zdaniu co do możliwego zakończenia tej sprawy i gdy po drugim strzale, olbrzymi granat przeszywając ze świstem powietrze, spadł tuż u brzegów Standard-Island, podnosząc wzburzone wody, komandor Simoe kazał spuścić pawilon na wieży obserwatorium.

Na znak ten kapitan Turner przedstawia się znowu na Babor-Harbour i odbiera żadaną sumę 30 milionów franków zebranych wśród mieszkańców, a wypłaconych mu przez prezydenta miliardowego miasta.

W trzy godziny później dymy kominów eskadry angielskiej zacierają się na horyzoncie, a Cudowna wyspa płynie dalej ku archipelagowi Tonga.

TONGA TABU.

— A więc zatrzymujemy się teraz u wysp Tonga Tabu? — pytał Yvernes.

— Tak mój przyjacielu, będziemy mieli wkrótce spo-

*) 30 milionów franków.

sobność poznania tych ziem, które równie dobrze nazwać możemy archipelagiem „Hawai” albo też wyspami „Towarzyskimi” jak chciał kapitan Cook przez wdzięczność za dobre przyjęcie jakiego tam doznał.

— Więc i my możemy się spodziewać przyjaźniejszego powitania jak u wysp Cooka — zauważył Ponchard.

— Prawdopodobnie.

— Czy zwiedzić mamy wszystkie wyspy tej grupy?

— Byłoby to niemożliwe, gdyż liczą ich około sto pięćdziesiąt.

— A potem?

— Następnie pojedziemy do Fidżi, ztamtąd do Nowych Hebrydów, gdzie zostawimy naszych Malajczyków, a wreszcie powrócimy do portu Magdaleny, skończywszy tegoroczną kampanię.

— A przy jakich wyspach Towarzyskich zatrzymać się mamy? — pytał dalej Francolin.

— Przy „Vavao” i Tonga-Tabu; — jednakże i tam Ponchard nie spotka się z kanibalami, których tak pragnie poznać...

— Gdyż zdaje się, że ich już nigdzie niema na naszej planecie — odpowiedział z westchnieniem udanego żalu, jego ekscelencya.

— Mylisz się najmilszy, jest ich jeszcze dosyć w okolicy Nowych Hebrydów i wysp Salomona, ale Tonga jednak poddani króla Jerzego I są już mniej-więcej ludźmi cywilizowanymi, ale choć poddanki jego bywają prześliczne, nie radziłbym wam przecież szukać między niemi towarzyski życia...

— A właśnie nasz stary „rzepola” Vaillant liczył na pewno że się tam ożeni — żartował Ponchard.

Zaczepony wiolonczelista, wzruszył pogardliwie ramionami, mrucząc coś niewyraźnie o naprzykrzonych żartach swego towarzysza.

Dnia 6-go stycznia występują już wyraźne wyżyny wyspy Vavao, która się różni od Hapai i Tonga Tabu, wulkanicznym swym pochodzeniem.

Cały ten archipelag, mieszczący się między siedemnastym a dwadziestym drugim stopniem szerokości południowej, zaś sto siedemdziesiątym siódmym i sto siedemdziesiątym ósmym stopniem długości zachodniej, obejmuje 2500 kilometrów kwadratowych z sześćdziesięcią tysięczną ludnością.

Tutaj 1643 roku zawinęły, pierwszy raz okręty Tasmana, a następnie w 1773 zwiedził je Cook, w swej drugiej podróży po oceanie Spokojnym.

Po obaleniu dynastji „Finer-Finer” i utworzenia Zjednoczonego państwa w 1797 roku, domowe wojny trapiły długo ludność miejscową, aż misye metodystów angielskich wywarły swój wpływ religijno-polityczny.

Panujący obecnie Jerzy I. jakkolwiek z tytułem władcy królestwa, zostaje jednak pod protektorem Anglii, która na przyszłość tworzy sobie podobno śmiało projekta co do zupełnej zmiany rządów.

Aby dopłynąć do Nu-Ufa stolicy „Vavao, trzeba Cudownej wyspie z wielką uwagą okrażać mnóstwo drobnych wysepek, któremi tu wody oceanu są zasiane. Wulkaniczna ta ziemia, ulegająca dość częstym trzęsieniom ziemi, została odpowiednio zabudowaną przez krajowców; a oryginalne jej

domy uplecione z sitowia i liści palmowych wokoło pni bananów lub innych drzew, przypominają swym kształtem pospolite kószyki pszczele. Ogólny ten widok urozmaica tu i owdzie rzucony domek Europejczyków z barwami Niemiec lub Anglii

Jeżeli jednak archipelag Tonga jest wulkanicznym, nie tutaj miał miejsce ów straszny wybuch, który przez 48 godzin pogrążył Standard-Island w tak niebezpiecznej ciemności; nawet mieszkańcy tutajsi nie zauważyli na niebie owych ciężkich chmur żużli i popiołu, jakie groziły Cudownej wyspie całkowitem zasypaniem.

Mimo, że kilka lat temu, rzadki w swej sile cyklon zniszczył tu doszczętnie wszelkie życie roślinne, obecnie Vavao przedstawia znowu kraję kwitnącą dobrobytem, w której podróży znajdzie wśród uprawnych pól trzciny cukrowej, wioski otoczone drzewami: morw, bananów, chlebowemi sandałowemi, oraz innej bogatej roślinności tych stron, ożywionych barwnem upierzeniem różnorodnych papug i licznemi stadami gołębi. Dzikich drapieżnych zwierząt ziemi te nie posiadają zupełnie, a z domowych jedynie drób i trzoda bywa hodowana.

Trudno nie przyznać zupełnej słuszności Kalikstusowi Munbar względnie do pochwał jakimi darzył ludność miejscową; mężczyźni rośli i pięknie zbudowani mają coś szlachetnego i dumnego prawie w ruchach i spojrzeniu, podczas gdy szczególny jakiś wdzięk i zręczność zdobi płeć piękną, której drobnych nóżek i delikatnych rączek może pozazdrościć niejedna kolonistka z nad Szprei lub Tamizy.

Ubranie krajowców składa się jedynie z przepaski lub fartuszka utkanego z włókna roślin; ze szczególnem jednak staraniem utrzymują wszyszczy bujne swe fryzury, które kobiety stroją kwiatami i liśćmi drzew, lub zręcznie z ich gałązek wyrabianemi spilkami.

Jakkolwiek Vavao ze swym portem Nu-Ofa nie jest stolicą tego Archipelagu, jednakże król Jerzy I posiada tu piękny szalek, w którym chętnie spędza większą część roku; właściwą wszakże jego rezydencyą jest wyspa Tonga-Tabu, gdzie też się mieszczą władze angielskie.

Podróż między jedną a drugą jest dla mieszkańców Standard-Island mile urozmaiconą widokiem mnóstwa drobnych wysepek tak, iż zaledwie jedna pocznie ginąć w dali, już druga ściąga wzrok piękną swą zielonością, pokrywającą wzgórzystą powierzchnię gruntu. A wśród tych świeżych bukietów, krąży, jakby rój barwnych muszek i motyli, niezmierna ilość łodzi zajętych dostawą produktów miejscowych do parowców stojących w portach i trudniących się wywozem mąki kokosowej „coprah” zwanej, oraz bawełny, kawy i kukurydzy, które stanowią dobrobyt mieszkańców.

Przeprawa ta jednak obok swej estetycznej strony, przedstawia niemалą trudność w żegludze, a szczególnie dla takiego kolosu jakim jest Standard-Island; ale, że mapy tych stron nadzwyczaj są dokładne, więc komandor Simoe, z pomocą zdolnych swych oficerów, przesuwa się w tym labiryncie z równą jak wszędzie swobodą.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincji w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Tabliczka szyfrowa i rysik p. M. Heilperna — W pustyniach Australii, przez Władysława Umińskiego. — Adrianopol (z drzew.) — Syn marnotrawny, powieść przez E. Jerlicza. — Nowy znajomy (z drzew.) — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — **Dodatek:** Pocziwa praca nikogo nie wstydzi, wiersz p. M. D. (z drzew.). — O rzymskich cyfrach. — Dobrze chęci i nieuwaga. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Na dworze landgrafów Turynгии, opow. Teresy Jadwigi.

WIECZORY RODZINNE



POCZCIWA PRACA NIKOGO NIE WSTYDZI.

Podarły się buciki!... toż bieda prawdziwa —
W nóżki kłóć będą kolce i lada pokrzywa,
I biegać już nie sposób po ścieżki kamykach,
Wstyd nawet się pokazać w dziurawych trzewikach!

Ha trudno, złe co rychlej potrzeba naprawić
A nawet przy robocie można się zabawić;
Cały warsztat szewski żwawo urządzimy,
Wszyscy na zydelkach wkoło zasiądziemy.

Dla dziewczynki jest szydło, bo wiadomo przecie
Że już najlepiej igła przystoi kobiecie;
My chłopcy wnet zrobimy obcasy, zylówki,
Młotkiem i goździkami przybijem podkówki

Bo niech tam co chcą mówią, mnie się zawsze widzi,
Że pocziwa robota nikogo nie wstydzi,
Że jak uczony piórem, a kmieć kosą, pługiem,
Tak i szewc swą robotą przysłuży się drugim.

M. D.

O RZYMSKICH CYFRACH.

— Czyś zauważył, Józiu, że na tym domu, w którym
teraz ciocia mieszka, są napisane jakieś duże litery —

mówił Adaś do starszego brata; — próbowałem przeczy-
tać ale niepodobna, bo jakże tu złożyć MDCCCLX?

— To są rzymskie cyfry, oznaczają one pewnie da-
tę postawienia tego domu — odpowiedział poważnie
Józio.

— Tak?... a wiesz jak się one czytają? — zapytał
znów Adaś.

— Naturalnie; — odparł starszy brat z pewną dumą
ze swej wiadomości: M znaczy tysiąc, D pięćset, C sto,
L pięćdziesiąt, X dziesięć.

— No, no, że to ty wiesz! — dziwił się Adaś — ale
powiedz mi, mój kochany, dlaczego to M ma oznaczać
tysiąc, albo C sto?

— Widzisz M to początkowa litera wyrazu „mille”
oznaczającego tysiąc, a C to znów początkowa litera wy-
razu „centum” czyli sto.

— A D? — pytał znów ciekawy Adaś.

— D... zapomniałem — tłumaczył się z zakłopota-
niem Józio.

— A L a X...?

— E, daj mi pokój! skądże mam o wszystkim wie-
dzieć.

— Szkoda, że nie wiesz, bo to ciekawe — dorzucił
Adaś.

— To ja wam powiem, moje dzieci, chodźcie tu do

mnie — odezwał się z drugiego pokoju ojciec, który, obudzwszy się po poobiedniej drzemce, słuchał od chwili rozmowy synków.

Chłopcy pobiegli do ojca, a ten tak się odezwał:

— Słyszałem, że Józio wywodził M od mille, a C od centum, mogłoby to może być, ale w jakiż sposób wytłumaczyć D L X i t. d.? Otoż moje dzieci ja wam to w inny sposób wytłumaczę:

W czasach dawnych, bardzo dawnych, gdy zamiast papieru używano drzewa lub kamienia, a zamiast pióra — siekiery, ostre jej cięcia oznaczały cyfry i wytwarzały liczby w ten sposób: jedno cięcie I oznaczało jedność, dwa cięcia na krzyż X oznaczały dziesięć, dla odróżnienia dwóch części stojących przy sobie II a oznaczających dwa; trzy takie cięcia □ oznaczały sto, cztery cięcia |X| tysiąc; z tego potem powstały inne cyfry i tak połowa X pięć V, połowa □ pięćdziesiąt L, połowa |X| pięćset D i t. p. Następnie wytworzono różne kombinacje cyfrowe, stawianiem jednych znaków przed innemi lub za innemi, ale o to nam już teraz nie idzie, chcieliście tylko wiedzieć, jak te cyfry powstały i to wam wytłumaczyłem, czy teraz rozumiecie?

— Rozumiemy, ojcuzłku, i dziękujemy za to objaśnienie.

Helena Bojarska.

DOBRE CHĘCI I NIEUWAGA.

(Dokończenie).

Wieczorem gdy podano światło, Lonia z robótką usiadła przy mamie, która zajęta była białem szyciem. Tatusz czytał bardzo zajmującą książkę, a Lonia z uwagą słuchała opisu podróży po Japonii, gdy w najciekawszem miejscu przerwała pokojowa, wchodząc z miną przerażoną niemal.

— Co się stało? — zapytała mama.

Tatusz przestał czytać, a Lonia zwróciła wzrok ciekaw na służącą.

— Proszę pani — zaczęła dziewczyna głosem drżącym — nie wiem co się stało, ale po schodach i sieni frontowej leżą porozrzucone kielbasy, kawały mięsa i różne inne rzeczy.

— Co też mówisz — rzekła mama podnosząc się spiesźnie i zapalając świecę — skądżeby to mogło być powyciągane, przecież pokój zamknięty.

Lonia zbladła, przypomniała sobie w tej chwili, że wybiegłszy z jabłkami, które chciała jaknajprędzej doręczyć mamie, pokoju nie zamknęła wcale.

Ale mamie przez myśl nawet nie przeszło, aby córeczka tak nieuwważną była i wyszła z pokoju, a tatusz zaintrygowany tym niezwykłym w domu wypadkiem, bo mama wzorowy utrzymywała we wszystkim porządek, wyszedł także, dziewczynka więc została sama.

Serduszek bił jej niepokojem, czuła to, że zasłużyła na gniew mamy, ukryła więc twarzyczkę w dłoniach, i trwożnie oczekiwała powrotu rodziców.

Domyśliła się wszystkiego. Parę dni temu zabito karmnika, a kielbasy, kiszki i t. p. wyniesiono na górę do pokoju, przeznaczonego na skład gospodarczy. Nie była to spiżarnia, ale znajdowało się tam dużo różnych przedmiotów.

Lonia wiedziała, że sprawczynią złego była jej faworytka Munia, kotka miła pod każdym względem, nie umiejąca tylko zrozumieć tego, dla czego nie możnaby zjeść kielbasy, kiedy się spotkają na drodze, nie zamkniętej przed noskiem. Munia nie tylko, że sama się najała, ale miała pewnie, chwalebny dla jej serca, zamiar, zanieść przysmaków i kociętom, których troje figlowało już bardzo pociesznie.

To wszystko przesunęło się przed oczami Loni, która nie umiała zdać sobie sprawy jak długo była samą, gdy rodzice weszli do pokoju.

— Dziękuję ci córeczko za twą przysługę — rzekła mama siadając na swem miejscu — dzięki twej uwadze, nie zostało ani jednej kielbasy całej; wszystkie poszarpane i porozciągane po schodach i sieni. Już to nie pierwszy dowód twej nieuwagi i roztrzepania.

Lonia nie śmiała rąk odjąć od twarzy, rozumiała to, że zawiniła bardzo.

Tatusiowi żal jej się zrobiło.

— Jakże to było, Loni? — zapytał dziewczyki głosem łagodnym — opowiedz, co było przyczyną twej nieuwagi?

Lonia odsłoniła oczy w których łzy błyszczały i rzekła, tłumiąc łkanie:

— Chciałam przynieść jabłka jaknajprędzej i zapomniałam drzwi zamknąć.

Żal jej i szczerość wyznania, powstrzymały słowa większej nagany na ustach mamy, rzekła więc tylko:

— Sądzę, że dzisiejsza twoja nieuwaga, będzie ci nauką na przyszłość.

Lonia przeprosiła serdecznie rodziców i na tem się skończyło, postanowiła tylko mama, coraz częściej wyregulować się córeczką, aby ją przyuczyć do uwagi i przytomności.

Przez kilka dni następnych wszystko było jak najlepiej, dziewczynka pilnowała się ile mogła.

Dnia jednego, mama siedząc w swoim pokoju rzekła:

— Idź nalej szklankę herbaty i przynieś mi tu córeczko, tylko uważnie, proszę cię.

— Niech się mamusia nie obawia, już mi się teraz nigdy nic nie przytrafi — rzekła Lonia pewna siebie.

— Nie bądź zbyt zarozumiałą, zalecam ci i nadal uwagę we wszystkim co robisz.

Lonia wybiegła uśmiechając się nieznacznie, zdawało jej się bowiem, że w nalaniu szklanki herbaty, nie trzeba tak wielkiej bacności.

Starła się włożyć tyle cukru, ile mama lubiła, uważała, aby herbata nie była ani nadto mocną, ani zbyt słabą, a zadowolona, że zrobiła wszystko jak najlepiej, przyniosła mamie żadaną herbatę.

Mama pochwaliła, że wszystko dobrze, a Lonia zabrała się do czytania głośno „Przyjaciela Dzieci”.

W czas jakiś, głośny wykrzyk, ach! który się rozległ

po stołowym pokoju, zadziwił nietylko Lonię ale i mamę, która podniosłszy się i spieszenie tam się udała.

Miły widok przedstawił się oczom. Po posadzce świeżo zaciągniętej płynęły strumienie wody.

— Co to się znaczy? — zapytała mama.

— Nie wiem proszę pani — rzekła Antosia, która z wyrazem smutku spoglądała na zniszczoną swą pracę — nastawiłam ten duży samowar, jak pani kazała, sama go tu przyniosłam, nikt przecie nie wchodził, bo pilnuję tego, gdyż posadzka nadto jeszcze świeża, no, nie wiem co się stało, ale wszystka woda z samowaru, wypłynęła na pokój.

Lonia załamała ręce.

— Mamusiu! — zawołała przerażona — to ja... ja zapomniałam pewnie... zapomniałam...

I rozplakała się, nie mogąc mówić dalej.

— Mój Boże! tyle pracy — biadała Antosia.

— I kosztu — dodała mama patrząc na Lonię — bo czas upłyniony przy tej pracy, to także pieniądz. A trud Antosi, jej zmęczenie, jak ci się zdaje Loni, czy to nie nie znaczy?

— Mamusiu... — szepnęła Lonia.

Smutna minka, łzy w oczach dziewczynki, wzruszyły Antosię, żal jej się zrobiło panienki.

— E, proszę pani — rzekła też machnąwszy ręką — moja praca to nic, zwyczajna jej jestem, a mam siły i zdrowie, niech już pani nie gniewa się na panienkę, ot, prosty wypadek, każdemu przytrafić się może. Ja to wnet naprawię, farby zostało jeszcze, a tę trochę kłopotu... no... nie wielka historia...

— Przebacz mamusiu — prosiła Lonia.

— Już to nie pierwsza twa nieuwaga — rzekła mama — zawsze masz dobre chęci, lecz nie nie zrobisz z zastanowieniem, widzę z tego wszystkiego, że nadal wyręczać się tobą nie mogę. A tak się cieszyłam, że mi będziesz pomocą; ale trzeba pewnie poczekać, aż Zochna trochę podrośnie, ona pewnie uważniejszą od ciebie będzie.

— Mamusiu! — zawołała Lonia całując ręce matki — ten raz jeszcze przebac mi... prawda, jestem nieuważną, ale się poprawię, będę ci pomocą, bo tego pragnę bardzo, zobaczysz mamusiu, że się poprawię, pozwól mi tylko wyręczać się jeszcze!

Mama dała się przeprosić i pozwoliła wyręczać się Loni, powiedziała tylko, że za pierwszą nieuwagę, stanowczo utraci to prawo.

— Myślałam, że wyręczając się tobą — mówiła dalej mama — przyuczę cię do porządku i uwagi, ale zbyt wiele to kosztuje, więc pamiętaj, że pierwsza szkoda wynikła z twej przyczyny, będzie dowodem, że mnie nie kochasz i nie chcesz być mi pomocą.

— Mamusiu! — rzekła Lonia z uniesieniem, składając ręce — ja ciebie kocham nad wszystko na świecie.

— Słowa niewiele znaczą — rzekła mama — miłość czynem się stwierdzić powinno.

— Dobrze, czynem przekonam mamusię, bo poprawię się z mej nieuwagi — rzekła Lonia uradowana przebaczeniem matki.

Lonia przeprosiła serdecznie i Antosię, a ta choć

dużo miała pracy, bo gorąca woda zmyła świeżą jeszcze farbę, nie miała o to żalu do panienki.

Od tej pory, nie było już słyhać o żadnym wypadku, wiemy tylko, że mama bardzo zadowolona ze swej pomocnicy, nazywa ją nawet: „prawą ręką”, jest więc pewność, że poprawa nastąpiła stanowczo.

Lonia przekonała się, że same dobre chęci nie zawsze są wystarczające, a nieuwaga i roztrzepanie, to bardzo brzydkie i szkodliwe wady dla panienki.

Bronisława Porawska.

S Z A R A D A.

Pierwsze jest samogłoską, *drugie* wspak, w pogoni, Ludzi w walce zachęca, a zwierzęta broni. Rzecz to aż nadto znana; *drugie* zaś i *trzecie*, I w domu, i za domem, napotkać możecie. Gdyż tworzy je natura i ludzie też robią; W domach są dla wygody, a krajobraz zdobią. *Wszystko* są to rośliny, które się z rozkoszą, Długie ścieląc łodygi, po grzędach panoszą. A po krótkiej świetności, pogrążone w cieniach, Czekają smutnie końca, po szklanych więzieniach.

PROZA DO PRZEROBIENIA NA WIERSZE.

Słońce na zachód tonie w las bukowy, ptactwo kwili w borze przedsenne pieśni i w przedsenne wonie kwiat się otoczył. Był dzień niedzielny o jesiennej porze. Po-bliżkie sioło grzmi szczęściem niewinnem, w gospodzie skrzypek wygrywa w najlepsze, wśród płąsów młodzież wykrzyka wesoło, przy miodzie starzy gawędzą o wojnie. Wszędy wesele a troski nie ujrzyysz, bo praca serca pocziwe darzy niebiańską pociechą. Pod słomianą strzechą, w pośrodku tej wioski, stał dom drewniany.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Wiewióreczka ze Zwirdzina dla Pokory.

Z następujących sylab: Rich—sce—zu—la—ka—wo — mek — bruck — ins—ba—el—cej—he—u—ral — kla—wet—i—fi—ter—nia—pem—lon—dler—ge—kurg—zel—li—nia—ta—oran—ka—ir—lo—tysz—den — ke—ne—wa — cy—glas—e—ne—gow—asz—on—pińsk—rio—ta—ze — neu—lan—dja—ca—zi—a—chil—les—rus—łom—da—gar — ni—un—wal—ter—bro—ir—kuck—el—ge — błąg—burg o—ren—neu—zi—ta—o—e — ułożyć wyrazy oznaczające:

1) Miasto w Szwajcaryi. 2) Sławny bohater z wojny z Etruskami. 3) Miasto w Arabii. 4) Miasto w Tyrolu. 5) Rzeka w Saksonii. 6) Wyspa na oceanie Indyjskim. 7) Wulkan w Islandyi. 8) Rzeka na wschodniej granicy Europy. 9) Jezioro w Szwecyi. 10) Córką Agamemnona. 11) Wyspa na morzu Bałtyckiem. 12) Grecki prawodawca. 13) Miasto w Hiszpanii. 14) Rzeka wypływająca z gór Altajskich. 15) Syn założyciela Troi. 16) Miasto w Anglii.

17) Miasto w Algeryi. 18) Miasto na Polesiu. 19) Jezioro w Ameryce. 20) Wyspa należąca do Danii. 21) Jezioro w Węgrzech. 22) Dowódzca wyprawy na Troję. 23) Król Perski urodzony w 598 r. przed Chr. 24) Jezioro we Włoszech. 25) Najwyższy szczyt w Tatrach. 26) Kanton w Szwajcaryi. 27) Miasto w Walii. 28) Miasto w Syberyi wschodniej. 29) Miasto zachodnich Prus. 30) Miasto w Szwajcaryi. 31) Miasto w Rosyi nad Rzeką Ural. Pierwsze litery tych wyrazów powinny utworzyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 38-go.

Szarady: Bo — rów — ki.

Kwadratu magicznego:

k	u	r	a
u	p	ó	r
r	ó	z	a
a	r	a	s

Łamigłówni kryształonej:

J
L e w
T u r e k
R e g u l u s
J e r u z a l e m
M a t a p a n
K o l o s
S e m
m

Skrzynka do listów.

Jakże nam przykro, że wypadkiem listy czytelników naszych z *Krzyworzeki* pozostawiliśmy tak długo bez odpowiedzi, obecnie więc choć nieco późno, dziękujemy w imieniu biednych dzieci z Kolonii letnich za przysłane dla nich rzeczy.

Współczujemy szczerze z żalem *Wiochny z pod Wielunia* nad grobem dziadzi i siostrzyczki, i choć pamięć o tych miejscach żaloby nie może ukoić serc naszych, przynosi nam jednak pewną ulgę, jaką w ogóle daje spełnienie obowiązku, nawet względem umarłych. Niechże Wiochna przekonana będzie, że w osądzeniu robótek nadesłanych na konkurs, Redakcja nie okaże się zbyt surową, zwracamy bowiem przede wszystkim uwagę na staranne wykończenie, które zawsze widoczne jest tam, gdzie były dobre chęci. Agdy już raz w tym roku zapoznałaś się z igłą, sądzymy, że do przyszłego konkursu robótek, nabierzesz o wiele większej wprawy, bo nie próżno mówi przysłowie: Każdy początek jest trudny.

Pojmujemy dobrze ile przyjemnych chwil mogła spędzić w swym ogródku pilna *Niezapominajka* z pod Wielunia i jakkolwiek podlewanie roślin, dla braku deszczu mogło być czasem trochę uciążliwe, czyż tem większą nie była radość, gdy się wszystkie pięknie rozwijały, dzięki tej staranności?

Milo nam, że *Rusalka* nie umiając jeszcze nic innego, chociaż obrębione i wyznaczone chusteczki na konkurs przysłała; ten objaw dobrych chęci, upewnia nas w nadziei, że odtąd igielka częściej będzie czynną w rękach Rusalki.

Obrazki *Sokoła* doręczyliśmy biednym dzieciom, które z pewnością cieszyły się z nich bardzo, za wisienki przestane w lecie, jako za dowód pamięci; Jaskółka pięknie dziękuje.

Jakkolwiek miłe nam jest zaufanie *Niezapominajki z nad Kłazmy* zasięgającej u nas rady, co do wyboru czytania książek, to jednak sądzimy, iż zdanie jej rodziców będzie i pod tym względem najniezawodniejsze. Koniec powieści „Dla Szczęścia rodziny” dołączony był do Nr. 30 Wieczorów. Tak ziarno, jak już wschodzące żdźbło lipki trzeba tylko w bardzo miernej trzymać wilgoci.

Utan z Białej dowiódł nam, że nawet wśród rozrywek wakacyjnych można z przyjemnością popracować trochę; sądzymy też, że z licznych nadesłanych nam łamigłówek znajdzie się kilka podatnych do druku.

Łamigłówni nigdy nie strudzonego *Wróbelka* Redakcja otrzymała i dziękuje za nie; nadesłane rozwiązania zupełnie są trafne.

Zwracamy uwagę *Zosi N.* jako też wielu czytelników naszych iż błędnie jest mówić, iż więcej nie należy pisać *ty raz*, gdyż jeżeli powiemy zawsze *ten raz* a nigdy *ta raza*, zatem w przypadku trzecim koniecznie będzie: *ty* razem.

Sądzę, że Strumyczek przeczytał już zawiadomienie, iż uszyte sukienki nie spóźniły się jeszcze na konkurs; o ile też sobie przypominam nie zostałam ci Strumyczku winną żadnej odpowiedzi, nazbyt bowiem miłe są mi wszystkie liściki młodych mych przyjaciół, abym miała zalegać w korespondencji z nimi. Przykro mi, że życzeniu twemu Redakcja nie może uczynić zadość, dla braku bowiem miejsca, prywatna korespondencja usunięta została. Szczere pozdrowienia przesyła ci

Jaskółka.

GAZETA POLSKA

NAJWIĘKSZY DZIENNIK POLSKI.

Drukuje od marca wielką, z czasów Nerona, powieść

HENRYKA SIENKIEWICZA

pod tytułem:

„QUO VADIS“

Nowi abonenci „Gazety Polskiej”, którzy ją zaprenumerują najmiej na kwartał, od 1 Października r. b., otrzymają *jako premium nadzwyczajne*, wszystkie początkowe fejtyny QUO VADIS **BEZPŁATNIE**, za nadesłaniem jedynie 50 kop. w markach pocztowych na koszt ekspedycji.

Cena Gazety Polskiej: w Warszawie: Rocznie rs. 9 60. Półrocznie rs. 4 80. Kwartalnie rs. 2 40. Miesięcznie kop. 80 z odniesieniem do domu.

Na prowincyi: Rocznie rs. 12. Półrocznie rs. 6. Kwartalnie rs. 3.

Adres „Gazety Polskiej:“ Warszawa, Warecka Nr. 14.

Agentura „Gaz. Pol.” w Łodzi: przy księgarni R. Sshatke’go, ulica Piotrkowska.

Zaleca się umieszczanie OGŁOSZEŃ w „GAZECIE POLSKIEJ” ze względu na jej poczytność.

Młoda osoba, skończywszy gimnazjum, pragnie udzielać korepetycy panienkom — podjąć się też może przygotowania do egzaminu. — Wiadomość w Redakcyi, lub ulica Oboźna Nr. 7 m. 2.